

Maria Jasionowicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N1272**
Data urodzenia: **21.04.1930 r.**
Data nagrania: **5.06.2018 r.**
Miejsce nagrania: **Dom zgromadzenia siostr zakonnych, Paryż, Francja**
Prowadząca/y rozmowę: **Arkadiusz Cisek**
Czas nagrania: **część I: 49 min, część II: 63min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

<POCZĄTEK NAGRANIA 00:00:00>

Urodziłam się w Jezupolu koło Stanisławowa, jakieś piętnaście kilometrów od Stanisławowa. Dzisiaj to jest Ukraina oczywiście, ale w tym czasie to była Rzeczpospolita Polska, Kresy, i w 1930 roku, w którym się urodziłam, było to piękne miasteczko Jezupol, gdzie mój ojciec odziedziczył majątek jako bohater wojny 18-20 o Polskę i został osadnikiem wojskowym właśnie otrzymując ten grunt, do tego gruntu. I wydaje mi się, że na tym gruncie mój dziadek i ojciec już zastali krzyż nieznanego żołnierza, czyli może grób nieznanego żołnierza, i to był taki punkt odnoszenia się rodziny do tego centralnego znaku naszej wiary i naszej tożsamości narodowej. Więc ja byłam trzecim dzieckiem Leona, mojego tatusia, i mamy Heleny. Przede mną była Janina, starsza o cztery lata, mój brat Edward o trzy lata i młodsza moja siostra Monika, o półtora roku młodsza ode mnie. Więc mieszkaliśmy w Jezupolu bardzo radośnie, mieliśmy wszystko, co nam było potrzeba. Jezupol to było miasteczko o historycznym znaczeniu, miało wielką przeszłość, ale ostatnio, już przed wojną, dosyć, nawet nie pamiętam, w którym roku, dominikanie przyjechali i objęli troskę o kościół, który był budowany przez różnych możnych Polaków z rodów wielkich, tak jak Potoccy, i wybudowali piękny kościół, który był poświęcony Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny, miał piękne freski i do dzisiaj dnia stoi, ale odarty ze wszystkiego. W tym kościele byłam ochrzczona i także moja siostra starsza i moja młodsza siostra, brat, też byli w tym kościele ochrzczeni. Byliśmy długo na tym miejscu, bardzo radośni i szczęśliwi, ale nigdy nie wspominałam o tym, że z powodów rodzinnych, z powodu życzenia tatusia, że moja mama zmarła w trzydziestym siódmym roku i że przy urodzeniu małego chłopczyka, Miecicia, najpierw ona, a później on zmarł, i mój ojciec ożenił się drugi raz, ale on prosił i błagał, żeby na ten temat nie mówić, dlatego że druga mama mu postawiła taki warunek - nazywała się Rozalia - że ona nie chce być macochą, że ona chce być matką, i rzeczywiście była matką i myśmy uszanowali,

że to jej pragnienie i nigdy nie wspominaliśmy „macocha”, nie mówiliśmy raczej o tym malutkim nawiasie, nie mówiliśmy nikomu i nigdy, dlatego żeby uszanować tak wolę ojca, jak i matki. Ona okazała się cudownym człowiekiem - nieznane sobie dzieci przeprowadziła przez Rosję, pracowała na nas, wszystko nam załatwiała, co trzeba było, jak rodzona matka. Nie czuliśmy tego, że to była mama jednak, nie czuliśmy, niemniej jednak z wielkim takim szacunkiem i z wielką miłością odnosiliśmy się do niej jako do naszej opiekunki, i ona dwa lata po odejściu ojca do wojska była już z nami aż do końca, do osiemdziesiątego piątego roku, ona była cały czas. I właśnie ta mała historia naszej rodziny, taka ochroniona pragnieniami rodziców jest nieznana, ja nie mówię o niej - nie mówię dlatego, żeby uczcić jednak pamięć tych rodziców, więc panowie, jak będą uważali, to proszę tego nie brać pod uwagę. Byłam bardzo szczęśliwym dzieckiem, chodziłam do szkoły. W Jezupolu były: szkoła ruska, szkoła polska i Żydki też miały jakąś szkółkę, ale w mojej klasie, chodziłam już do trzeciej podstawowej, były i Żydówki, i Tatarki, i Polki oczywiście, Ukrainki. Żyliśmy bardzo koleżeńsko i bardzo pięknie, choć pamiętam, że jak jeździliśmy do babci na wakacje do Pawlikówki, to tam Ukraińcy na nas bardzo krzyczeli i rzucali na nas kamieniami, a my do nich: „Tu pagórek, tu dolina, w piekle będzie Ukraina”, tak żeśmy ich częstowali, więc coś już było pod gruntami niepokojącego, i dlatego ci osadnicy wojskowi, tak jak mój ojciec, bardzo często poświęcali się, jeździli na różne zjazdy, tworzyli stowarzyszenia, ażeby strzec Kresów przed tą już tam drzemącą napaścią, którą się odczuwało ze strony ruskiej. Szkoła była wspaniała, uczyłam się bardzo dobrze. Bardzo lubiłam szkołę. Pierwszą komunię świętą otrzymałam właśnie w tym dominikańskim kościele z rąk ojca dominikanina i chodziłam na różne zabawy dzieciinne. Była tak zwana ochronka, w której miały siostry zakonne swoje sieroty i inne dzieci, jeździliśmy tam razem, ażeby się z nimi bawić, żeby z nimi wyjeżdżać na różne wycieczki i tak dalej, więc to życie było krótkie, dlatego że miałam dziewięć lat, i przyznam, że bardzo mało pamiętam takich szczegółów tuż przed wojną, doskonale natomiast pamiętam dzień, kiedy ojciec mówił, że jest mobilizacja i że musi iść. Pytaliśmy się: „Tatusiu, a gdzie masz iść, gdzie?”, on mówi: „Tu pójdziemy tylko na takie ćwiczenia, bo polscy żołnierze muszą się przygotować”. Nam to jakoś było dziwne słyszeć takie rzeczy, że jakaś mobilizacja, o wojnie coś było słychać, niemniej jednak ojciec poszedł w sierpniu, a później drugi raz na początku... nie, jeszcze pod koniec sierpnia. I po wyjściu z domu nakreślił nam na czołach krzyżyk, wyszedł z domu i potem nie widziałam go ja dziewiętnaście lat. Ojciec się dostał do niewoli, nic o nim nie wiedzieliśmy, a my z mamą doczekaliśmy się tego okrutnego dnia, 10 lutego, w którym nas wywożono.

Droga siostrzo, zanim jeszcze przejdziemy do tej części losów siostry - w tym roku obchodzimy stulecie odzyskania niepodległości przez naszą ojczyznę.

Tak.

Siostra była małą dziewczynką w tej II Rzeczypospolitej, ale gdyby siostra podzieliła się z nami kilkoma refleksjami na temat takich swoich osobistych, może subiektywnych, ale nacechowanych na pewno szczerością, bo dziecięcych odczuć związanych z tym światem, który już odszedł, a do którego i w tym roku, i w ogóle chcemy się odwoływać jako do naszego punktu odniesienia, do naszej tej właściwej ojczyzny.

Ja uważam, że były to czasy bardzo szczęśliwe. Myśmy się czuli Polakami, jako te dzieci ojczyzny często w szkole i poza szkołą, nawet w domu, mój brat zawsze to organizował i śpiewaliśmy patriotyczne piosenki, bo ojciec mój

należał do „Strzelca”, chodził do „Sokoła”. Był taki ogromny budynek, gdzie odbywały się filmy, gdzie [odbywały się] zebrania i ojciec stamtąd przynosił, grał pięknie na klarnecie, i przynosił stamtąd różne takie historyczne i patriotyczne słowa piosenek i uczył nas. Myśmy byli bardzo szczęśliwymi dziećmi, dla nas to była ojczyzna bardzo piękna, wszystko nam dawała - wykształcenie, wycieczki, szkoła piękna, wszystko, co dla dziecka można było przygotować w tamtym czasie. Ja uważam, że taką właśnie tą Rzeczpospolitą, tym moim domem, który był w Polsce, tą całą atmosferą polskości ja przeżyłam wtedy już i nabrałam takiej miłości do tego wszystkiego. Mnie, jak szliśmy do babci polem takim dużym i tam były maki, chabry i stokrotki, to były polskie maki, chabry i stokrotki. Ja jeszcze ich wtedy nie nazywałam, ale już czułam w sercu, że to moje, że to część mojej ojczyzny, że to część tego piękna, którym mnie Bóg obdarzył, bo się właśnie tam urodziłam. To były czasy dla nas na pewno bardzo radosne, bardzo takie nastawione na patriotyzm, bo w szkole również uczono nas najpiękniejszych patriotycznych pieśni, kościół był zawsze też ostoją polskości i oczywiście wiary katolickiej, dlatego uważam, że Polskę, którą utraciliśmy, traciliśmy 10 lutego, to była jakby strata matki, jakby strata kogoś najdroższego po własnych rodzicach, ale z wielkim bólem żegnaliśmy Polskę. Jak przejeżdżaliśmy granicę Związku Radzieckiego, już w tym straszliwym pociągu towarowym, to jak mówili: „Jezus, Maryja, Józef. Jedziemy na Sybir. Już nie ma Polski”. To było coś tak dramatycznego dla nas wszystkich i jako dziecko bardzo to przeżyłam, że właśnie coś się kończyło - kończyła się część mojego życia, która się zrosła z tymi ziemiami, która tą kulturą żyła, która uczyła się poezji patriotycznych i różnych pieśni, żeby się cieszyć i żeby rozstawać nawet wśród tych Ukraińców czy Tatarów, czy nawet Żydów naszą polską cudowną tożsamość.

I później przyszedł wrzesień, o którym siostra już wspominała.

A potem przyszedł wrzesień tragiczny. Ja w moich wspomnieniach też mówię o tym. To były bomby ni stąd ni zowąd, nikt się ich tak nie spodziewał wtedy, przynajmniej my, i lęk, i to wszystko, co wrzesień nam przyniósł, to był lęk i niepewność. To było pozbawienie nas tej swobody i tego bezpieczeństwa, które czuliśmy w domu, pod krzyżem, jak składaliśmy kwiatki, pacierze, to wszystko jakieś było takie bezpieczne, takie beztrudne, takie piękne. Pierwszy wrzesień to wszystko przeciął na zawsze, muszę powiedzieć, na zawsze to przeciął. I wtedy zaczęły się ponure, ciemne, smutne dni - wyczekiwanie ojca, wielu żołnierzy wracało z frontu albo rannych, albo odartych z mundurów, prosili o rzeczy tatusia i o inne rzeczy, żeby ich ubrać, bo groziła im niewola i rozstrzelanie. Żyliśmy w lęku, to muszę powiedzieć, i to trwało gdzieś tak może do Bożego Narodzenia. Na Boże Narodzenie mówiliśmy: „No, już tak będzie, tak już musi być widocznie” i trochę się przygotowywaliśmy, zawsze czekając na tatusia, że wróci. Nie wrócił. Kotary zawsze trzeba było zasłaniać w oknach, bo kogoś żeśmy się bali, ktoś miał jeszcze na nas napaść, ale tego jako dziecko nie bardzo rozumiałam. W każdym razie utraciłam tożsamość narodową wtedy, ale powierzchownie, zewnątrz, bo nigdy tej tożsamości się ani nie wyrzekałam, ani jej nie straciłam, ani się jej nigdy nie pozbędę - będę zawsze, i na tamtym świecie, będę Polką, będę córką tej cudownej ojczyzny, która chyba jedyna na świecie daje takie dowody swojej lojalności, swojej miłości i swoich także obywateli. Zaznałam tego wielokrotnie, doznawaliśmy właśnie tej miłości od naszych profesorów, od naszych nauczycieli na wygnaniu. Któż nam przelewał to wszystko, całe to bogactwo do serc? To właśnie oni, i ja myślę, że im się należy później hołd największy - z wielkim, z ogromnym poświęceniem wyszukiwali materiałów. Myśmy nie mieli żadnych pomocy naukowych. Ja pamiętam, że jak byłam w Teheranie jako dziecko i zaczęli nam organizować szkołę, to ktoś miał kawałek gazety, z jakiegoś munduru żołnierskiego czy skądś kawałek gazety, i na tym kawałeczku gazety uczyłam się czytać, bo już zapomniałam przez

dwa lata w Rosji prawie, więc wszystkie dzieci miały ten mały skrawek gazety, na którym uczyliśmy się i który nam przypominał wszelkie książki, wszelkie bajki i wszelkie sprawy, które mieliśmy przed wojną, tak że patriotyzm, patria - to była ojczyzna, to była matka dla mnie, i ten patriotyzm trwa w moim sercu, chociaż tyle przeszłam już w życiu i tyle krajów widziałam i tyle kultur poznałam. Nic nie zastąpi tego, kim i czym dla mnie jest Polska.

Musimy wrócić niestety do tego momentu, kiedy fizycznie z tej Polski siostra z rodziną została wywieziona.

Tak.

Tę Polskę musiała siostra wyznawać przez kolejne lata poza granicami tej Polski.

Tak, tak.

Przyszła pierwsza deportacja, 10 lutego 1940 roku.

Tak, 10 luty 1940 roku.

Z siostry opisów tej deportacji realizowanej przez Związek Sowiecki rysuje się obraz niemalże końca świata.

Tak, tak.

Ta perspektywa takiego widzenia tej sytuacji, tego wydarzenia u siostry się nie zmieniła, rozumiem, że dalej siostra tę sytuację...

Tak.

...ten okres w swoim życiu tak postrzega?

Tak. Może mam inny sąd o tym wszystkim, prawda, bo dojrzałe patrzyłam na wiele rzeczy, ale moralna ocena tego strasznego napadu w nocy, i to nigdy się w moim sercu nie zmieniła. Ja czułam już jako dziecko, że to była zbrodnia poniekąd, żeby nas wyrzucić z domu, pozbawić nas wszystkiego i zdać nas na taką straszną poniewierkę, i dlatego mnie się wydaje, że ja patrząc teraz, widzę w różnych perspektywach historii i życia ludzkiego to samo, może inaczej i dojrzałej, nigdy jednak nie straciłam tej oceny obiektywnej, że to była jednak zbrodnia uczyniona na żywym narodzie, pozbawienie go wszystkiego, tak jak nas pozbawiono, wyrzucenie nas z naszych domów, zabranie wszystkiego bez żadnych uprawnień i tak dalej, i tak dalej, więc dla nas w czterdziestym roku 10 lutego skończyła się jedna karta życia, no i historii.

I zaczął się dla siostry gułag. Czy mogłaby siostra opowiedzieć te straszne przeżycia, kiedy siostra znalazła się wraz z rodziną w transporcie?

Tak.

Przepraszam, może najpierw, jak oni przyszli w nocy, jak to przebiegało wszystko.

Aha, i powtórzyć to?

Jak to przebiegało?

Dobrze. Więc właśnie w tym czasie ojca nie było, bo nie wrócił jeszcze, a moja siostra Janina już była w gimnazjum, bo już zaczęły się otwierać szkoły i była w Stanisławowie w gimnazjum; Monika, moja młodsza siostra, była u cioci, tak że byłam tylko z moim bratem i z mamą, i z dziadkiem. Raptem w nocy... Normalnie żyliśmy wyczekując tatusia i myśląc o tym, co dalej. Dwie moje siostry tam jeszcze zostały i one, każda była bezpieczna - jedna u cioci, druga w jakimś internacie. Teraz jak przyszli, ci oni, walili kolbami i różnymi jakimiś, nie wiem, karabinami, czymkolwiek, do naszych drzwi, i myśmy się zbudzili z bratem, i wybiegli do pokoju mamy. Mama wstała, a oni: „Otwieraj!” i „Otwieraj!”, po rosyjsku oczywiście, a mamusia mówi, że ona tego nie robi, bo ona jest tylko z dziećmi, o tej porze - to była czwarta rano - że ona tego nigdy nie robi w nocy, ale oni się uparli i w jeszcze gorszym, właściwie z takim zapałem i z taką nienawiścią mówili, że jeżeli ona tego nie zrobi to oni sobie poradzą, więc mamusia otworzyła i oni wpadli. Ja pamiętam doskonale, że byli sowietci, ja ich nie bardzo odróżniałam od Ukraińców, pamiętałam tylko, że Ukraińcy mieli żółto-niebieskie opaski na ramionach swoich tam mundurów czy garniturów, a żołnierze, ci rosyjscy, to byli umundurowani w takich sowieckich mundurach. Więc mamusię zaraz posadzili na krzesło i powiedzieli, że jej się nie wolno ruszać. O ile pamiętam, to dwóch stało przy niej i mówili: „Nie wolno ci się ruszać”. Oni się rozbiegli po całym domu i zaczęli szukać. Czego oni szukali - tego my nie wiemy. Wszędzie szukali, w różnych pudełkach, w kieszeniach, w szufladach, wszystko wyrzucali i szukali czegoś, nie wiemy czego. Po jakiejś może godzinie... A dziadzio równocześnie cichutko leżał, bo on nie mógł się ruszyć. Nawet na niego tak bardzo nie zwracaliśmy uwagę, bo w pewnym momencie ten Ukrainiec mówi, czy Rosjanin: „Pakuj się. Powiedz dzieciom, żeby pakowały walizki”, a mama mówi: „A gdzie jedziemy? Kto nas wywozi?”, a oni mówią: „To się dowiesz o tym”. No to mamusia mówi: „Słuchajcie...”, my jeszcze poszliśmy z bratem nasze patriotyczne piosenki śpiewać na podwórzu i żegnać się, bośmy coś przeczuwali na podstawie tych przeżyć, które ojciec nam opowiadał o różnych wojnach i tak dalej. Przychodzimy do domu, a mama mówi: „Bierzcie ciepłe rzeczy”. „Mamusiu, gdzie my jedziemy?”. „Nie wiem, i oni też nie chcieli [powiedzieć]. Wszystkiego się dowiecie”. I były to tragiczne, co brać, co brać, dlatego że myśmy bardzo mało w ogóle rzeczy innych oprócz ubrania i trochę jakiejś żywności, która tam była, a niewiele było, to myśmy to razem wpakowali z moim bratem do takiego dużego kosza pielgrzymowego i potem też do dwóch walizek. I po godzinie oni mówią, że ten dom to już nie jest nasz, że to już jest ich. Bardzo nam było jakoś dziwnie wychodzić, no ale jest dziadzio, trzeba pójść do dziadzia. Poszliśmy do dziadzia, a on z tym swoim słońcem na twarzy, z tym swoim podaniem woli bożej, temu straszemu jakiemuś losowi w tej chwili nic nie mówił, tylko prosił nas, żebyśmy się modlili i żebyśmy kochali Polskę, i żebyśmy się zawsze trzymali Boga. Tak nas uczył. Jeszcze to była ostatnia jego katecheza, ta dziadzia i jego twarz, i jego słowa. Nie mówił: „Pracujcie” czy coś, czy nawet „Bądźcie patriotami”, tylko „Kochajcie swoją rodzinę, kochajcie Boga, kochajcie ojczyznę”, i z tym wyjechaliśmy. Dziadzio został w domu. Mama

z wielką troską pytała: „A co z ojcem?”. „A, to staryk, on nie pojedzie, bo on do pracy się nie nadaje, a zresztą jest chory”, i tak został z tym swoim różańcem ogromnym i z tym swoim przekonaniem, jak wierzymy, że Bóg jest z nim, i że mu nie da zginąć. Różne teorie są o jego dalszych losach, bo na naszych oczach taką deseczką jakąs zabito drzwi nasze, ale tam było coś napisane, więc może napisali, żeby ktoś przyjechał i się nim zajął, może jakieś były zlecenia tych, którzy zabierali normalnych ludzi, nie chorych, tego wyższego jakiegoś urzędu - nie wiem, nie wiem, ale dziadzio został i my ze łzami najgłębszymi żegnaliśmy dziadzia, całowaliśmy go po rękach i tak wyjechaliśmy z domu, ale pamiętam krzyż, pamiętam krzyż. Krzyż ten nasz to był katecheta, on nas uczył wiary, ten krzyż, bo ja pamiętam, że jakoś zawsze był takim symbolem takiego bezpieczeństwa, radości. Bardzo często chodziliśmy pod krzyż się modlić, składać kwiatki, ale wtedy poczułam, że tak jakby ożył, jakby coś się tam ruszyło w tym krzyżu, jakby obejmował nasze losy. Może wtedy o tym nie myślałam, ale po tym, po jakimś czasie tak myślałam, że jak tak przeżyłam pożegnanie z dziadziem i z tym krzyżem, on tak jakoś jakby się przychylił do nas, jakby coś chciał powiedzieć, bo zawsze do nas mówił - mówił wiarą, mówił miłością, mówił językiem rodziców, którzy nas kochali. Mówił normalnie katechezą dziadzia. Więc pożegnanie z domem było bardzo rzewne, ale może więcej bym przeżyła, gdybym była starsza, gdybym miała więcej doświadczenia, i nieraz sobie wyrzucam: Boże, nie wzięliśmy albumu, nie wzięliśmy tego, tamtego. Mowy o tym nie było, ani nawet nam się nic nie chciało, bo to czasu było mało - raz, dwa, trzy i już jedziemy na stację. W korowodach ludzi, osadników różnych po drugiej stronie, dzieci płaczące, sanie sunące po tym śniegu, 40 stopni mrozu, zimno potwornie, niedoubrani i jedziemy. A jeszcze o tym właśnie pociągu, bo ten pociąg jakiś stał na stacji i był to zagadkowy pociąg, towarowy pociąg, ale był przedzielony w poprzek takimi deskami - nazywano to prycze - no i kolejarze mówili: „Dziwny to jest pociąg, dlatego że on tu stoi, nie wiadomo po co i bardzo długo”. Ludzie mówili, że może ranni żołnierze gdzieś stąd czy stamtąd będą przewożeni, a on czekał na nas, czyli Rosjanie zaplanowali od dawna już wywóz tych wszystkich osadników i tych ludzi, których tam mieli na oku i wsadzili nas do tego pociągu. To była tragedia. Prycze wysokie, podrzucali starsi mężczyźni, bo ani nie było schodków, ani drabinki, ani nic, a starszych na dole, jak śledzie jedni na drugim ileś tam, po siedemdziesiąt, po osiemdziesiąt osób do takiego wagonu, zimno i nic, ani jedzenia, ani wody. Jakiś tam piecyk malutki był na dole w tym strasznym zimnie i na higieniczne sprawy jakiś otwór w podłodze. I nas tam załadowali do tego pociągu i czekaliśmy trzy chyba dni na stacji. To była tragiczna sprawa - ludzie płakali, chcieli wyjść z tego pociągu. Zaryglowane wszystko i nie było moich dwóch siostr, mojej siostry Janiny i Moniki, ale już NKWD w domu, jak nas pakowali, to mówili: „Przywieziemy wam, przywieziemy. Dajcie tylko adresy, gdzie one są”. I one przyjechały. Jak przyjechały pod pociąg, ciocia mówi do mojej starszej siostry: „Słuchaj, ona może ze mną zostać, ja się będę nią opiekować. Ona z nami będzie i obiecuję ci, że nic się jej nie stanie”, ale mama mówi: „Nie, niech ona decyduje. Jeżeli chce zostać z ciocią - dobrze, ale jeżeli chce, to niech jedzie z nami”, i ona wybrała wyjazd z nami, z czego się bardzo cieszyliśmy, dlatego że ona była najstarsza, a potem w Rosji okazała się taką mamą, taką opiekunką - nie tylko nas, ale także dzieci, kuzynów naszych matych i różnych innych sąsiadów, którzy z nami byli razem na tym wygnaniu, tak że jej obecność była opatrnościowa z nami. I Monikę też przywieźli, Monika miała siedem tam lat, więc ona tak nie bardzo. Myślała, że jedzie pociągiem, to wielka przygoda jechać pociągiem, ale z tragedii tego wywożenia nie zdawała sobie sprawy. Więc dopiero jak ruszył ten pociąg i wszystko było zaryglowane oprócz malutkiego okienka, przy którym siedzieli mężczyźni i patrzyli, gdzie też nas wiozą, bo nikt nie wiedział, i wtedy jak przejeżdżaliśmy już przez granicę polsko-rosyjską, to wtedy zaczęli krzyczeć i płakać, że jedziemy na Sybir, wiozą nas na Sybir. O ile pamiętam, to wtedy śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”, śpiewaliśmy wszyscy. Jedni szlochali, jedni płakali, jedni cicho ocierali

łzy, ale pamiętam, że atmosfera była bardzo, bardzo podniosła, i wtedy jeden pan zaczął: „Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu, śmieie rzec może: »Mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga«”, więc tym się karmili, na tym się opierali i na tym właśnie wskazywali nam drogę na Sybir nasi cudowni ojcowie, matki, nasi starsi, starsi ludzie od nas, a my, dzieci, to słuchałyśmy to, co mówili. Nieraz się bardzo dziwiłam, jak dzieci płakały. To było straszne: niemowlęta nie miały ani pieluch, ani nie można ich było myć, ani wody nie było. To było tragiczne. Ja nie pamiętałam, że właściwie codziennie nam nie dawano żadnego posiłku, kilka razy w tygodniu, dwa czy trzy razy w tygodniu jakąś zupę z kapusty czy z czegoś przynoszono w wielkim wiadrze i można było brać. Myśmy nie mieli czym nawet, ani talerzy nie było, ani łyżek, ani żadnej rzeczy, więc pozbawieni byliśmy wszelkiego, co do ludzkiego funkcjonowania było potrzebne, ale jakoś to przeżyliśmy. I ta podróż makabryczna dosłownie trwała ponad dwadzieścia dni i jechaliśmy w nieznane.

I to nieznane okazało się Kazachstanem?

Tak.

W przypadku siostry i siostry rodziny.

Tak. W Kazachstanie nas osiedlili i tam w cudownej, niby pięknej okolicy, Dżetygara w kustanajskiej obłasti, kopalnia złota, tam była kopalnia złota, więc oczywiście wyrzucili nas z wagonów, po tym jeszcze z jakichś tam pojazdów, już nie pamiętam jakich, do baraku, ogromnych baraków, i tam na podłodze wiele rodzin razem skomasowanych i żyjących nadzieją. Od razu starszych oczywiście zabrano do pracy i mamę też. Kobiety i mężczyźni, wszyscy tam gdzieś chyba do szesnastu lat, bo potem i moja siostra poszła, i kto nie mógł iść do pracy, to siedział w tym baraku i czekał, tak jak my, dzieci. W zimie było strasznie, bo nic nie mogliśmy sobie zdobyć, a mamusia, jeżeli te wózki z rudą złota pchała, bo ona była na wierzchu, a mężczyźni byli w tak zwanej szachcie pod spodem kopania, to za to dostawała tam kilo chleba na dwa dni i coś tam jeszcze, więc dokąd pracowała, to mieliśmy, ale potem ciężko zachorowała i musieliśmy się tak żywić czymkolwiek - po stepach, na wiosnę już było łatwiej, po stepach biegać i zrywać cokolwiek tam było do jedzenia, i tak przeżywaliśmy te straszne [warunki].

Siostra wcześniej określiła samą deportację zbrodnią. Czy przez ten czas, kiedy przyszli Sowieci do siostry domu, zabrali rodzinę siostry, do tego momentu, kiedy, można powiedzieć, wyrzucono was w ten step kazachski...

Tak.

...gdzieś przy tej kopalni złota, i potem czy w ogóle władze sowieckie cokolwiek mówiły na temat tej, w ich opinii waszej winy, dlaczego doszło do tej deportacji, czy dostaliście jakieś informacje, że zostaliście jakoś tam skazani?

O ile ja pamiętam z tego, co słyszałam, to oni mówili: „Wy zapomnijcie, to już nie jest - to mówili na pewno - zapomnijcie o waszej Polsce. Ona już nie istnieje, to jest Związek Socjalistycznych Republik Rad i będzie należał już zawsze do nas, a wy sobie życie układajcie tak, jak chcecie, ale tam już nigdy nie wrócicie”. To na pewno słyszałam to, nie

słyszałam, żeby mówili, że to za to czy za tamto nas wywożą, przynajmniej ja nie pamiętam tego.

Czyli rozumiem, że waszą winą było to, że byliście Polakami?

Tak, tak, absolutnie.

To było winą w opinii Sowietów wystarczającą do tego, żeby skazać was...

Tak, wystarczającą, żeby nas skazać na taką...

...na taki los.

Tak, tak.

Mama siostry w pewnym momencie nie wytrzymała trudów tej pracy i znalazła się w szpitalu.

Tak.

Ale zostaliście wy, dzieci.

I my zostaliśmy sami.

Jako te małe dzieci musieliście sobie w tym strasznym świecie w jakiś sposób poradzić.

Tak. Ale mój brat poszedł do pracy, miał jedenaście lat, moja siostra poszła na służbę, a ja również poszłam na służbę do takiej chadziajki, pilnowałam dziecka. Jakoś chcieliśmy się utrzymać, ale najważniejsze było, żeby mamie pomóc, żeby jej zanieść coś, może ona będzie coś potrzebowała, i właśnie opisywałam chyba w moich wspomnieniach o tym, jak mamusia na tyfus chora strasznie przez pewien moment patrzyła na nas przez okno tego szpitala. To była straszna higieniczna sytuacja: na podłogach leżeli nie przykryci i mamusia mleko i mleko, i właśnie wtedy sobie postanowiłam, że będę służyć, że pójdę na służbę, żeby móc zarobić na mleko dla mamy, i chodziliśmy wtedy z moją młodszą siostrą od chadziajki do chadziajki: „Proszę nam dać mleko. Będziemy pilnować dziecko, będziemy zamiatać” i nikt nam tego mleka nie chciał dać, a wreszcie otrzymaliśmy, ale niestety, mamusia była nieprzytomna i go nie wypijała. Jakim cudem moja mama, przechodząc dwa tyfusy brzuszne i plamisty tak zwany, przeżyła, to jest jeden z największych cudów. Warunki higieniczne były straszne. Potem jak mama wyszła ze szpitala, to był szkielet, nie mieliśmy jej coś dać, żeby ją wzmocnić czymś. Jak był chleb w domu, no to było już bardzo dobrze, więc mój brat i moja siostra obiecali, że zarobią, że będzie wszystko, że będziemy mieć, i poszli właśnie do pracy. Mój brat miał tego konia takiego okropnego, którym woził glinę z miejsca na miejsce i miał być małym stachanowcem i zarobić dużo pieniędzy, moja siostra służyła u takiej chadziajki bardzo trudnej i też coś tam nie coś zarobiła, i tak jakoś przeżyliśmy to wszystko. Ja nie wiem jak, to był cud.

Ja pozwoliłem sobie zanotować jedno zdanie z wspomnień siostry, które szczególnie mocno przemawia do mojej, ale myślę, że chyba nie tylko mojej wyobraźni. To są słowa następujące: „Może nigdy przedtem nie rozumieliśmy narodzin Jezusa w stajni betlejemskiej tak głęboko i rzeczywiście”. Siostra bardzo dojmująco opisuje głód, ten głód w zasadzie towarzyszył, on był stałym elementem siostry, i nie tylko siostry, trwania na tej nieludzkiej ziemi. To są rzeczy, które współczesnemu człowiekowi, zwłaszcza dzieciom, a przecież siostra była dzieckiem, są kompletnie niezrozumiałe. Czy siostra może nie tyle opisać ten głód, co opisać sposób przetrwania tego czasu, kiedy wyście walczyli o to, żeby fizycznie przeżyć, a warunków ku temu nie było żadnych, w zasadzie byliście skazani na fizyczne wymarcie. A jednak przetrwaliście.

Tak. Myśmy trwali najpierw modlitwą. Muszę powiedzieć, że pilnowaliśmy modlitwy rannej i wieczornej i trzymaliśmy się razem jako grupa, jako rodzina, jako miłość. Ja to napisałam właśnie, że nigdy tak, bo wtedy ja to odczułam, fizycznie odczułam, bo ta pani miała ziarnka, ona miała pszenicę w woreczku, którą trzymała i rozdawała tę pszenicę swoim dzieciom, a nam nie dała, ale potem nam po garsteczce dała tej pszenicy, i ja sobie wtedy [pomyślałam], jakieś miałam takie ogromne przeżycie Betlejem, że [żyliśmy] w takiej [biedzie] - ja tutaj nic nie mam, Pan Jezus się rodzi, a my nie mamy ani łóżka, ani domu, ani niczego, nie mamy co jeść, i taki był ten głód zaspokojony tym, ale On tak samo przeżył. To chyba była nauka dziadzia, która drzemała w nas i budziła ją albo modlitwa, albo jakieś ogromne przeżycie, które wyzwalało to, co w pamięci było tam już zakodowane albo w sercu zapisane i wtedy ono się budziło, i właśnie w Boże Narodzenie obudziło się w nas wtedy takim jakimś radośniejszym momentem, że przecież Pan Jezus też tak cierpiał i też nie miał warunków do życia i tak dalej, i że on właściwie jest tym pokarmem i tym, co nasycza nasz głód i on to robił przez całe nasze wygnanie.

W wielu opowieściach, w wielu zwłaszcza przekazach współczesnej narracji historycznej moment podpisania układu Sikorski-Majski jest przekazywany jako coś, co było Polakom wywiezionym na nieludzką ziemię prawie od razu znane.

Tak.

Doszło do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, zaczął się, mówiąc skrótem, Anders.

Tak.

Ta nadzieja, którą to nazwisko niosło dla setek tysięcy Polaków, którzy byli wywiezieni na nieludzką ziemię, ale dla siostry ta informacja o tych możliwościach tak szybko nie dotarła. Z siostrą działy się różne historie związane z przemieszczaniem w różne miejsca, ale siostra przynajmniej na początku nie miała jeszcze świadomości, z czego wynika ten dziwny ruch...

Nie.

...w kierunku najpierw Uzbekistanu, tak?

Ktoś nam powiedział właśnie, bo ani radia, nic nie było, więc ktoś powiedział...

Może jakby siostra zaczęła, żeby to był taki ciąg logiczny. Jak już tam siostra opowiadała, że mama była w szpitalu.

Tak.

Potem Boże Narodzenie było z mamą czy bez, wtedy?

Bez, bez.

Siostra opowiedziała właśnie od tego momentu, jak mama wyszła...

Tak.

...i potem pewnie to się już działo, bo potem to już czterdziesty pierwszy rok.

Tak, tak, tak.

Jakby siostra od tego momentu [opowiedziała], kiedy mama wyszła ze szpitala i jak to się potem [dalej toczyło], takim chronologicznym ciągiem.

Więc mamusia cudem wyszła ze szpitala i jak wróciła, to musiała iść do pracy, ale na szczęście dano jej lżejszą pracę i ona pracowała jako pomoc pielęgniarska. Ona nie miała tam wielkiego przygotowania pielęgniarskiego, ale w szpitalu pracowała i to nas też właśnie podniosło trochę na duchu, bo ona ze szpitala przynosiła od czasu do czasu jakieś jedzenie, coś tam jej dawano albo zarabiała, nie wiem. W każdym razie ona przetrwała tę straszliwą chorobę i w szpitalu troszkę było nam lepiej, po jej wyjściu ze szpitala, bo jak mówię, otrzymywała jakieś wynagrodzenie, a nieraz i chleb, i jakieś inne rzeczy do jedzenia, i to ona usłyszała, na pewno od starszych osób, o tej amnestii. Myśmy pojęcia nie mieli, co to jest, gdzie to jest, i ktoś powiedział, że trzeba jechać na południe, do Uzbekistanu. Ale jak jechać? Więc trzeba było mieć pieniądze, żeby się wydostać z tej Dżetygara i dostać się tam na południe. Tam były tragiczne znowu [warunki], myśmy nie mieli żadnych pieniędzy. Jeszcze żeśmy z moją siostrą i z bratem więcej pracowali i tak dalej. Ktoś nam pożyczył trochę pieniędzy i wreszcie dozbieraliśmy, ale większość już odjechała, więc naszą tragedią było, żeśmy zostali sami, na tym właśnie pustkowiu takim, bezludnym już teraz, bo Polaków nie było, i musieliśmy się przedostać. To był nasz ratunek. Wiedzieliśmy, że ci Polacy już wyjechali i że coś jest dobrego, że gdzieś jedziemy ku jakiejś wolności czy ku jakiemuś lepszemu życiu. Ja nie wiem, co oni wiedzieli, ja wiedziałam bardzo mało - tylko wiedziałam, że nie mamy pieniędzy, a musimy się tam dostać. No i cudownie się dostaliśmy, tak jak opisałam w swoich wspomnieniach, że jak przyjechaliśmy tam, to ci wszyscy ludzie, którzy o wiele wcześniej od nas pojechali, czekali na tej malutkiej stacyjce gdzieś na odludziu, czekali na ten sam pociąg, do którego myśmy niby mieli zdążyć, no i ta tragiczna dla nich - no, dla nas też - historia, że jak ten pociąg przyjechał, to myśmy znowu zostali, ale tutaj, tak jak

widzę wszędzie, choćby w tym, że mama wyzdrowiała i że dostała taką pracę, po tym, że jakoś dojechaliśmy do tego [Uzbekistanu], naprawdę opatrzność boską. Kalkulacje ludzkie i programy, i plany by nigdy tego nie przewidziały ani nie zdołały w życie wprowadzić. Siedzimy na tej stacji, gdyby ten kolejowy, który tam na tej stacji urzędował, gdyby on się nami nie zajął, to naprawdę my byśmy też i z głodu mogli tam umrzeć, bo długo, długo tego pociągu, który miał niby nas zawieźć, nie było, ale opatrzność boska zawsze nam podsuwała jakieś wyjście, jakąś pomoc niewidzialną, i przypisywaliśmy zawsze, że to dziadzio się modlił na pewno, że ten pociąg przyszedł, bo on przyszedł zupełnie niezaplanowany, zupełnie nieprzewidziany, nawet przez tego kolejarza, i ten pociąg nas wyzwolił poniekąd z części podróży. Nastąpiła następna część tym pociągiem, ale już nam troszeczkę pomogli żołnierze, a potem byliśmy za tą rzeką Amu-darią. Znowu jeszcze Stalin nie pozwalał przekraczać granicy Iranu, więc nie wiadomo było, co z tymi Polakami, którzy tam do wojska się mniej więcej zbliżają, co z nimi zrobić, że w Uzbekistanie nie zawsze było dobrze, bo myśmy pracowali w tej plantacji waty, ale to nie było dla tych Uzbeków pozytywne, dlatego że myśmy im odbierali pracę, że oni mówili niektórym Polakom: „Po co wyście tu przyjechali? Wy nasz chleb jecie” i tak dalej, i tak dalej, tak że były też bardzo przykre stosunki i bardzo przykre historie razem z tymi tubylcami, ale długo to nie trwało, bo znowu nas wywieźli tą samą potworną rzeką Amu-darią, rzeką śmierci, i pojechaliśmy na południe. I wtedy wylądowałyśmy w tej stajni okropnej, gdzie pan wszarz nami się zajmował, gdzie wszyscy, wszyscy dorośli poszli do szpitala i została moja siostra, która się opiekowała gromadką małych dzieci, i skazani na opatrzność boską, bo nie mieliśmy ani opiekunów, ani pieniędzy, ani możliwości zarobku, nic, nic, i znów opatrzność przysłała nam z pomocą: najpierw że tę wodę otrzymaliśmy, a potem że cudownie ten żołnierz zmobilizowany odnalazł nas pod tą straszliwą, nędzną stacją, nas, kilkoro dzieci tam bawiących się przy ogniu i szczęśliwych, że będą miały placki.

A tu trzeba też wyjaśnić, że w tym momencie mama siostry ponownie zachorowała.

O tak, na tyfus plamisty.

I te małe dzieci były bez opieki mamy, ale też w tym czasie już chyba siostry brata też nie było z wami, tak?

Nie było, tak.

<KONIEC NAGRANIA 00:48:52>